

# BLUSZCZ

*Spółeciano-Literacki Ilustrowany Tygodnik Kobieczy*

ROK LXII

WARSZAWA, DNIA 13 LIPCA 1929 ROKU

NR. 28

TREŚĆ NUMERU: Wojna czy pokój — *Zofja Miszewska*. Księżna Alexandra Cantacuzéne — *Z. R.*  
Poezje: Z cyklu „Nowogródzkie”: „Granica” — *Leonard Podhorski-Okolów*. Zawalidroga (dok cz. I.) powieść —  
*Herminja Naglerova*. Sztuka na P. W. K. — *J. Z teatrów*. Kobieta w świecie i w domu — *M. D. i j. k.*  
O otrzymaniu dobrego plonu pomidorów — *Zofja Wróblewska*. Odżywianie a zdrowie — *Marja Morzkowska*.  
Przepisy gospodarskie — *Pani Elżbieta*. Korespondencje. Dodatek „Mody i roboty”: Apaszki i torebki —  
*Well*. Dodatek „Kultura Ciała”. Dodatek powieściowy: „Głos krwi” — *R. Hichens*. Tablica kroju.

## WOJNA CZY POKÓJ

Nie chcę tu, broń Boże! stawiać zagadnienia na płaszczyźnie tych, czy innych wywodów politycznych, ani też rozstrzygać refleksyj na tle tak modnego dziś hasła pacyfizmu.

Wszystko to dotyczy się przeważnie czegoś nazewnątrz naszego „sui generis” świata kobiecych możliwości; dotyczy się tysiąca ważnych nici, leżących w tysiącu potężnych dłoniach, a nici te są nam cokolwiek obce i dalekie.

Bo jednak wielka gra polityki — to nie nasz genre, nie nasze zamiłowanie i nie nasze zdolności. Miejmy odwagę przyznać się do tego, bez gwałtownych gestów triumfu w stronę tradycji kobiet rządzących: rządziły przeważnie przy pomocy jakiegoś sejmu, czy innej, równie zasadniczej instytucji, a w rzeczy samej rozumiały się na tem stosunkowo niewiele.

Wielkie, ogólno-światowe akcje nie leżą w naszym zakresie, gdy chodzi o realny czyn, narzucający swą ważność siłą i wielkością gestu.

Bezpośrednio nie kładziemy rąk na wielkiej machinie świata, państwa czy społeczeństwa, nie puszczamy w ruch jej największego koła rozpędowego, lecz powoli, systematycznie, przekręcamy drobne śrubeczki i trybiki, polerujemy, gładzimy i dopasowujemy, a potem, jakaś mocarna dłoń porusza lekko całą maszynę, wołając zwycięsko: — oto ja dałem początek wielkiemu dziełu!

Nie można również powiedzieć, aby właśnie kobiety przygotowywały opinię publiczną, czy coś w tym rodzaju; myślę, że robimy coś nierównie waż-

niejszego, budując dusze przyszłych mocarzy i składając w nie przez nas pomyślaną i wybudowaną ideologję czynu. A właśnie budowanie wszelakich ideologij spoczywa na kobiecych barkach i dlatego coraz częściej powtarzający się w ostatnich czasach zarzut braku ideowości w społeczeństwie — godzi przedewszystkiem w nas. Bo jednak, kto wie, czy tej ideowości rzeczywiście nie jest za mało? Dawniej, w Polsce niewolnej i upokorzonej, ideologia wchodziła do rąk i serc drogą najmniejszego oporu, lub drogą unormalizowanych, drobnych, nie przynoszących, czynów pseudo-patriotycznych. Drzymał w nas przedewszystkiem kult bohaterstwa specjalnego, wojennego, że się tak wyrażę, „szabelkowego”, który obok idei poświęcenia i męczeństwa był najistotniejszym objawem naszej głębi duchowej.

Było w tych porywach i najszczerze złoto i świetnie udany szlach, ale oto duch czasu grzał się w tych ogniach wojennego zapału i konieczności głośnego, błyszczącego szlifami, bohaterstwa. Wzięliśmy tradycję i umiłowanie wojenne pełną garścią z dawnych czasów, a że nasz najbliższy wymarzony czyn również zamykał się w granicach walki o śmierć lub życie narodu — więc trwało się w tym entuzjazmie, przekazując go coraz dalej i dalej w przyszłość, jak niewyczerpaną, a zawsze pełną treści krynicę.

Bo pomyślmy, na czem wychowywali się nasi ojcowie, my i nasze dzieci: na kulcie bohaterstwa, wojny, śmierci na polu chwały i okrzyku — do broń! Nic nam przecież nie pozostawało wtedy, jak ten

właśnie okrzyk, mogący otworzyć wrota do naszego własnego, polskiego raj (o tempora, o mores!).

Przypomnijmy sobie te dawne książki dla młodzieży, które zawsze mówiły o bohaterstwie, a nigdy prawie o szarym, codziennym obowiązku; które głosiły hymnem radości śmierć nieprzyjaciela, a nigdy szlachetne umiłowanie obcych i współpracę z nimi. Znowu muszę powtórzyć ten stereotypowy okrzyk: o tempora, o mores!

Dziś, gdy ten poprzedni, łatwy do odnalezienia ideał został osiągnięty, stanęliśmy wobec pustego miejsca po nim i, siłą rozpędu, czy lenistwa myśli, łapiemy w dłoń tę próżnię, przesiewającą się przez palce, twierdząc, że mamy pełne dłonie.

Kobiety wychowały społeczeństwo w duchu wojny i tej wojnie go oddały, świetnie przygotowane ideowo: zdobyły więc Polskę. Teraz jednak, należałoby zmienić trasę lotu dusz i postawić im przed oczy nowy Ideał, może nie tak ognisty, jak poprzedni, ale napewno racjonalniejszy. Bo oto, gdy dusze obecnych ludzi pełne są jeszcze szczytnych marzeń o bohaterstwie — obowiązek leży odłogiem, w kurzu zapomnienia, bo w świadomości pokolenia, wychowanego przez kobiety tego dawnego, militarne okresu, niema miejsca na powszedni dzień: ciągle się czeka na jakieś wielkie święta i to koniecznie — pułkowe!

Należałoby przestać patrzeć na wojnę, jak na wzniesienie dusz w krainy Ideału. My, kobiety, mamy do tego szczególne zdolności, bo tylko nieliczne z nas spojrzały na wojnę nie z punktu czystego efektu wewnętrznego, czy zewnętrznego. W nas samych i w pokoleniu, przez nas wychowanym, wyrobił się już pewien specjalny snobizm, tak, że praca codzienna, wytrwała, taka oto zbożna praca — nie podnosi niczyjego autorytetu. Społeczeństwo jednak w ostatnich czasach poczyną już odczuwać pewien anachronizm w swoim stosunku do tak zwanych praw człowieka i obywatela. Ideały przewartościowują się coraz bardziej i dlatego na piedestale trzeba postawić co innego, niż tylko walkę i nienawiść wroga, i wpoić przekonanie, że praca, zwykła praca, jest równie albo i więcej ważna.

Nienawiść i pęd do walki trwa, a że pierwsze jest przyczyną drugiego — zastanówmy się, co kobiety robią w imię ogólnoludzkiej miłości.

Wtargnęłyśmy przecież do polityki, a czy wniosłyśmy do niej jakie specjalnie nasze, kobiece, walory? Nie! jak zawsze i jak wszędzie upodobniamy się do mężczyzn i razem z nimi wołamy: — nienawidźcie!

Taka jest właśnie rola kobiet w poszczególnych partjach politycznych. Z tego okrzyku rodzi się wiecznie nieśmiertelna idea wojny, kult militarizmu już, a nie kult bohaterstwa.

Bezmyślne hołdowanie starym kultom, bez wprowadzenia nowych, skierowało kobiety daleko na bezdroża myśli i uczuć. Państwo odrodzone zmagają się w sobie, pracuje całą siłą mięśni, by budować, wznosić i urządzić, a kobiety budują dusze swych dzieci na modłę dawnych, żelaznych rycerzy, oczekujących tylko w tępej martwocie bezczynności, ni-by legendarni rycerze Giewontowi, na okrzyk — wojna! — jedynie mogący ich obudzić i natchnąć. Każdy, zakrojony na miarę bohatera, czeka tylko sposobnego czynu do walki orężnej; rozdmuchuje w sobie nienawiść, potrzebną do zwycięstwa, rozdmuchuje ją narazie w granicach kraju, nie mogąc iść „na turki czy tatarzy“.

Polityka robi „pakt Kelloga“ i bardzo dużo pisze o rozbrojeniu Europy. Ale Europa stoi na czatach, z ręką na cynglu, i nie myśli opuścić zbrojnego ramienia.

Polska czeka również i ma rację. Nie ma racji jedynie, że w tem czekaniu widzi całą treść swego istnienia. To jest zło konieczne, samoobrona, a nie szczyt marzeń, nie cel moralny człowieka. Przestańmy wierzyć w wojnę i marzyć o rozlewie krwi, jak o najszczytniejszem posłannictwie. Śmierć nie jest największym bohaterstwem, a zabijanie, nawet wrogów, nie jest czemś ultra szlachetnym.

Wielkim terenem bohaterstwa, jeżeli o to słowo chodzi już tak bardzo (wszystko musi iść drogą ewolucji), jest praca, jest wytwórczość, jest czyn budujący, a nie niszczący. Otwarto Wystawę Krajową, wielki turniej pracy, tak jak ongi były turnieje walk rycerskich. Jest to wyraźne odwrócenie narodu od umiłowania wojennego rzemiosła. Należy kuć nową ideologję, bo już jesteśmy za Rubikonem, i stara będzie pustką w naszych sercach. A kuć ideologję mogą przedewszystkiem kobiety, i wszelkie zło, które się bez tego stać może, spadnie przedewszystkiem na ich barki.

Zofja Miszewska.



# KSIĘŻNA ALEXANDRA CANTACUZÈNE

*Nova przewodnicząca Małej Ententy Kobiet.*

Jedną z najtęższych działaczek społecznych w dzisiejszej, odrodzonej Rumunii jest księżna Alexandra Cantacuzène, potomkini jednego z najstarszych rodów, który dostarczył Mołdawji i Wołoszczyźnie kilku gospodarów. Sama zamieszkuje pałac, pełen przepysznych tradycyj ubiegłych wieków, przy calea Victoriei w Bukareszcie.

Cały ruch propagandowo-kulturalny, społeczny i filantropijny Rumunii skupił się w jej rękach; ona to, istota obdarzona wysoką kulturą umysłu, błyskotliwą inteligencją i talentem krasomówczym, którego niejedyn orator wiecowy i sejmowy pozaźdrościć jej może — dzierży w swych rękach od lat piętnastu nici każdej poważniejszej akcji społecznej, mającej na względzie dobro kraju i wybijającej kobiety na czoło narodu, walczącego o swe prawa kulturalne.

Najpoważniejszą instytucją społeczną, narodową i religijną, stworzoną przez tę pionierkę ruchu kobiecego w Rumunii, jest bezsprzecznie „Stowarzyszenie narodowo-ortodoksyjne kobiet rumuńskich“. W ciągu kilku lat swego istnienia stowarzyszenie to wydało plon, jakim poszczycić się może niewiele pokrewnych mu instytucyj.

Dość powiedzieć, iż ta instytucja prywatna, dźwignięta wysiłkiem jednej kobiety, która umiała sobie dobrać odpowiednie pomocnice, posiada w tej chwili 8 liceów dla dziewcząt, gdzie 3000 uczennic otrzymuje niższe i średnie wykształcenie, 40 ochron z jadłodajniami (są to pierwsze szkoły tego typu, założone w Rumunii), gdzie 3.500 dzieci otrzymuje naukę i posiłek, podczas gdy matki idą do pracy.

Stowarzyszenie to powołało także do życia kursy dla dorosłych, gdzie tysiące robotników nauczyło się czytać, a w ciągu 15-tu lat swego istnienia wybudowało kilkanaście okazałych gmachów dla swych szkół, sumptem ofiar i zapisów, wynoszących przeszło 80 milionów lei, i posiada oddziały w większych miastach rumuńskich.

Podczas wojny księżna Cantacuzène, jako członkini Czerwonego Krzyża, była kierowniczką największego szpitala w Bukareszcie, oraz jej staraniem powstał szereg jadłodajni dla wdów i sierot po poległych żołnierzach. Opieka jej rozciągała się i na obozy koncentracyjne.

Księżna Alexandra Cantacuzène jest zdeklarowaną feministką. Parę lat temu powołała do życia „Radę narodową kobiet rumuńskich“, która jest dzisiaj bodajże najpoważniejszą w tym kraju organizacją kobiecą. Ona to w Rzymie, na kongresie „Związku sufrażystek“ stworzyła, z udziałem dele-

gatek innych krajów, organizację pod nazwą „Małej Ententy kobiet“, w której skład weszły przedstawicielki Czechosłowacji, Jugosławji, Rumunii, Polski i Grecji.

Odczyty, wygłaszane w Bukareszcie, Belgradzie, Atenach i Pradze przez nią samą, oraz przez wyznawczynie jej zasad i poglądów, przyczyniły się znacznie do spopularyzowania haseł feministycznych w Europie, a działalność jej w Belgradzie w sprawie dzieci nieślubnych stała się podwaliną prawodawstwa, dotyczącego tak ważnej dziedziny.

Pracą zaś najowocniejszą, podjętą przez ks. Cantacuzène, było połączenie Związku wszystkich stowarzyszeń kobiecych w Rumunii, z „Radą narodową kobiet rumuńskich“, w dniu 25 października 1925 r. w Bukareszcie, co było pierwszym od czasu wojny objawem solidarności między kobietami jednego kraju, odmiennych ras i wyznań, które rozdzielała dotychczas nienawiść, lub niechęć.

Jako wyznawczynie zasad pacyfistycznych, głoszonych z entuzjazmem, księżna Cantacuzène opracowała projekt „Kolonij wakacyjnych międzynarodowych“, a projekt ten zatwierdzony został przez „Instytut współpracy intelektualnej przy Lidze Narodów“ i uznany za najodpowiedniejszy dla ugruntowania zasad pacyfistycznych przez edukację.

Księżna Cantacuzène jest obecnie radną miejską, a ostatnio została obrana, jako przewodnicząca „Związku intelektualnego w Rumunii“, który to związek reprezentowała z wybitnym powodzeniem na kongresie „Związków intelektualnych“ w Heidelbergu.

Jako założycielka i przewodnicząca sekcji kobiecej Fida'u, księżna Cantacuzène zorganizowała pierwszy pomiędzy młodzieżą szkolną konkurs na temat pracy pacyfikacyjnej i społecznej Ligi Narodów, a konkurs ten zwrócił uwagę sir Ericka Drummonda, który winał znakomitej Rumunce doskonałego pomysłu. Obecnie została wybrana na przewodniczącą Małej Ententy Kobiet podczas konferencji tejże Ententy w Warszawie.

Dom księżny Cantacuzène jest prawdziwym ogniskiem intelektualnym, gdzie się zbiera cała elita towarzyska Bukaresztu, gdzie obok przedstawicieli wielkich rodów rumuńskich, spotkać można nieraz gościa z zagranicy, który, podejmowany z niezrównanym wdziękiem przez gospodynię domu i obznajmiony przez nią w sposób wysoce rzeczowy i ciekawy z ważniejszymi przejawami życia kulturalnego stolicy Rumunii, wywozi jaknajlepsze wspomnienia.

Z. R.

# GRANICA

(Na szosie słuckiej).

OJCU.

Wczesnym rankiem niedzielnym ruszyliśmy z Klecka.  
Auto marczy i płynie pomiędzy zbożami,  
Dzień jest czysty i ciepły, jak cichy sen dziecka,  
Mkniemy szosą. I naraz — granica przed nami.

Niska łąka, płot lichy, dwie z drągów zastawy...  
Więc to tutaj? Tak prosto? Nie, jeszcze nie mierzę!  
Wprawy konie spętane, las w dali sinawy.  
Tak, jak dawniej... Lecz oto podchodzą żołnierze.

Tak, to tutaj. To tu legło straszne to słowo,  
Co od „ranić“ pochodzi i tyle lat rani.  
(Cała rozpacz, tłumiona, odżyła nanowo,  
Jakiś krzyk chciał z ust wybiec — i zaciął się w krtani!)

Przez lornetkę jesteśmy już tam... za kordonem:  
Skoś drgające gorąco wieś widać woddali.  
Jakiś miatrak na wzgórzu, nad polem zielonem,  
Nowym gontem pokryty, na słońcu się pali.

Trzy furmanki powoli, skoś kurzów powicia,  
Jadą kędyś na kiermasz.. Łzy w oczach się kręcą.  
I stoimy: ten, który TAM włożył pół życia,  
Zapatrzonej wraz ze swym niedoszłym następcą!...

Znów jesteśmy z tej strony. Z rodziną swą rojna  
Jakiś wieśniak się zbliża na nędznej szkapinie.  
„Skąd to państwo?“ A jakże: pamięta, przed wojną,  
Bywał w naszym majątku mleć żyto we młynie...

Jakież szczęście nań patrzeć (twarz zdrowa i młoda),  
Znowu słyszeć tę mowę, jak ziemia solidną!  
„Za Łubiencom jest góra. Jak ładna pogoda,  
„Starzy mówią, że Kopyl, a nawet Sluck widno“.

Sluck! Odchodzę i siadam na trawie, nad rowem.  
W jedną stronę wciąż wraca i myśl i spojrzenie:  
Tam, za temi wzgórzami, na wapieniu domowem,  
Od szumiących topoli kołyszą się cienie...

Ach, czas, zda się, zamrótcił, cofnęły się lata!  
Przeszłość dyszy dokoła radością i mocą,  
Znowu błękit nad nami obłoki rozpląta.  
I miatr pachnie polami, i druty śmieją się...

Naraz — żołnierz zakaszłał. To życie się tłoczy,  
Aby znów nas pochwytać w swą prawdę okrutną.  
Wstaję, idę do ojca. On patrzy mi w oczy  
I w milczeniu przygarnia do piersi... Jak smutno!



HERMINJA NAGLEROWA

11)

## ZAWALIDROGA

(powieść)

Straszliwość wojny drze płótno rdzawemi plamami krwi, zielonkawym błyskiem bagnetów, okrągłym, czarnym okiem armat. I tylko drzewa — te bliskie, niemal żywe i te dalekie, koronką wydziergane brzozy — błagają okrutnych i bezmyślnych widzów o zmiłowanie.

Prędko wymazał wojenne widowisko żółty spad ścieżek Parku Kilińskiego. Pan szewc na cokole daremnie pogadywał o swoim powstańczeni bohaterskim i według czyjegoś pomysłu łączył dziejowy czas od Raławic po Warszawę. Nikt tu nie miał dla niego zbyt wiele uwagi. Krążkami chrupkich, solą polewanych „preclów” podkarmili chłopcy siebie i liny w zielonej sadzawce. Pyszczki ryb kłapały złotawym bronzem, w topazie ich oczu migotało słońce, niby blaski pozłótek. Świerki pachniały żywicą, czerwony buk płonął na jakimś zboczach. Można tu było siedzieć w zaspanej ciszy i powoli, jak na różańcu, przesuwać własne zadowolenie.

Małemi, śmiesznymi pudełkami tramwaju poturkotali potem na Plac Marjacki. Pod gładziczną kolumną Mickiewicz nie raczył spojrzeć na pielgrzymów; ruszyli przeto ku Rynkowi. Minęli masyw katedry, walący się sinym cieniem na rozkopany bruk. Franek powiódł przyjaciela tajemnym okręgiem do Kaplicy Boimów. Niczem kasetka, wyrzeźbiona cierpliwem dłutem, stała za barami katedry malutka, odwrócona od gwaru handlowej ulicy. Ściany, nabijane grudkami głów, marszczone fałdami szat, obramione szczodremi gzymsami, jak naszymi patrycjuszki, jak litami łańcuchami sławetnego rajcy! Ciekawemi oczyma zajrzeli do wnętrza, barwionego bogobojnymi freskami, prześwietlonego klejnotami kolorowych szyb. Nie mogło być końca podziwom, ani nasycenia sowym karmem sztuki. Radość oczu zmąciła się wreszcie zmęczeniem i już błagalnie przywierała do czyichś rozmodlonych warg, do czyichś rąk, wysmukających się chropawym kamieniem.

Pierwszy odważył się Janek.

— Nie pokazuj ty mi kościołów, ale chodź na planty, czy gdziekolwiek między drzewa! Lwów jest zielony i jasny — poco przytłaczać go starymi kamieniami?

Poszli więc rynkiem, potem ulicami pod górę i niby po łuskowatym grzbiecie smoka wdrapali się na Wysoki Zamek. Minęli szerokie, ocienione aleje, podegrzane już słońcem, które strzepiło się w koronach starych drzew. Ciężko, głębokim tchem pachniały klony, kasztany i lipy, tłumiąc wrzask ba-

wiąjących się dzieci. Tu, tu właśnie nie odnajdzie się nigdy śladu swoich malutkich kiedyś nóżek, drepających za biegiem obręczy. Tu, tu właśnie jest zamglony początek krzywdy. Głęboko w piasku zdeptana pamięć dni, kiedy byli tu jeszcze razem — ojciec i matka, a kiedy — dziś to wie — odprysnęli od niego, jak skorupka orzecha.

Trzeba jednak było udźwignąć przemilczany smutek i ponieść go z sobą, jak podróżny toból. Jasnocielony stok rozjaśnił chmurne oczy, kosmata od traw ścianka pradawnego muru zasepleniła coś o kniaziu Lwie. Drózką, wychodzoną ongiś przez Smolkę, okrążali pracowicie kopiec Unji Lubelskiej, niby wysoką koafiurę, opasaną złotą taśmą serpentyny.

Ze szczytu Kopca spadli spłoszonymi oczyma na krase pole miasta. Niepowstrzymany wytrysk wież i kominów fabrycznych nie mógł nadążyć rozległej wysoczyźnie nieba. Dachy domów lśniły się w słońcu, jak białe łany hreczki. Zawijasy dymów dmuchały bezprzytomnie w połyskliwy, słoneczny kurz.

— Jam jest posąg człowieka na posągu światła! — drwił Adonis.

Jakaś rodzicielska para przywiodła tu syna uczeniaka. Uczony wykład papy kreślił się szerokim gestem, niby pół nieba i pół ziemi obejmujących ramion. Matka wysterczała poprzód wyniosłą piersią, a marchewkowo - żółta czupryna chłopca świeciła, jak mosiężna kula. Franek odwrócił się posępnie od tej rodzinnej trójki, bo smutna myśl zmąciła błękit zapomnienia. I znowu trzeba było zdusić milczeniem ważność własnych spraw, dla których przecież nie było miejsca pod żelaznym palem Kopca. Wzrok Franka godził w dalekość niebieskich obszarów, bo właśnie od zachodniej strony zaczęły się chmury i, wydzwigając się, niczem grzbiet górski, szły trójkątami i kopułami szczytów ku słońcu.

Podróżni poddali czoła krótkim falom, nasiąkłym już chłodem wilgoci. Nozdrza pochwyliły zapach deszczu i bystre chęci poniosły się ku jakimś przygodom. Prawie razem zaczęły mówić o podróżach, o miastach nieznanych, o szastaniu się po świecie. Zwierz burzy zawarczał, jak lew z dalekich, właśnie co pomysłanych pustyń.

Wracali do miasta, gnani taborem dzieciennych wózków i szumem spódnic. Bieg zgóry nappełnił serca chłopców gorącym, zdyszczym śmiechem, a przez białe zęby wydzierały się słowa krótkie i jaskrawe, jak gwizd ptasi.

Gdy się spad ścieżek nieco obniżył, nabrali tchu, aby mówić o przyszłości.

— Wojsko — zaśpiewał Adonis — mamy jeszcze przed sobą służbę wojskową.

Nie umieli sobie dać rady z chęcią i niechęcią. Mundur miał przecież swoje śliczne zalety, a kawaleryjskie przeczucia zapachniały potem końskim i słodyczą wiatru. Adonis był już przekonany, że „będzie cudownie“ i tylko jeszcze kaprysił nad wyborem pułku i barwy proporczyka.

Ale Franek właśnie teraz wytaszczył przed przyjaciółmi swoje czarne smutki. Wojsko będzie tylko przeszkodą dla niego, musi przecież coby prędzej zacząć zarabiać, żeby się od tego wszystkiego wyswobodzić. Abazury matki i wsiowa odległość ojca nastawiły się, jak zatrute sztylety. Cofał się przed nimi ku sobie, ku sobie, w czerwony żar krzywdy. Prawda dusiła, jak dym. Bo czyż nie cieszyła się matka, gdy wyjeżdżał? Nie umiała, czy może nawet nie chciała ukryć swojej radości. Pozbywała się przecież śledzących oczu syna! A czy ucieszy się ojciec?

Szukał w pamięci życzliwego uśmiechu ojcowskich ust. Wtedy grube krople deszczu bryzgały na gorące policzki. Rzęsistym śmiechem świsnęła czerwona ulewa.

## XI.

Pociąg przedzierał się przez niebieską plachtę zmierzchu. Czarnym, pierzastym brzegiem snuł się daleko na horyzoncie las, obramiając ziemię, rozwiniętą w półkole, niby wachlarz.

Przy chmurzącej się szybie strażowały uważne oczy Franka i zbierały z okien w mrok wciśniętych domów złote żuki światła. Ciemnozielone kołowiska łąk, szary piach zbóż, rozpięte skrzydła drzew — wszystko uciekało w popłochu, w obłędzie wydłużonych skrętów. Wreszcie narosła ziemia czernią nocy, niby gęstym mchem. Zwolniła się na szybie para, poczem tajemna przestrzeń porwała chmurę i rozwlokła przed oknem pociągu, niby szal, nabijany cekinami iskier.

Teraz można już było tylko przeczuwać te obszary, szarpane hukiem pociągu. I jeszcze głębiej w noc odwiewała samotność. Dokąd to, dokąd? Nie potrafił dojrzeć siebie samego, płynącego pod żalobną flagą bezdomności. Bo choć zna tak dobrze żółte prostokąty oświetlonych okien domu w Kalińcach, nie wie, czy będą ramiona, które go przyjmą na progu. Ganek rozstąpi się drewnianymi słupami, powitają schodki i klamka podda się dłoni. Złoty promień, nakształt cienkiej klingi, wytnie się w niedomkniętych drzwiach, stół zaświeci białym obrusem, a na zielonym liściu zaszklą się blade porzeczeki. Dom w nocy. Oczy ojca patrzą zimno. Syn. Kroki podchodzą ciężko. Syn, duży syn czoło przymierza do czoła. Bary rysują się w rzędzie. Są przecież podobni, są niby ci sami.

I nagle w najgłębszej trosce rozmyślań wybuchła rakieta dziecinna radość z tego, że jest podobny do ojca, do swojego pięknego ojca!

Na szybach wagonu zasiadły się skośne igielki deszczu, bo słońce, jakgdyby wyczekawszy zmierzchu, spłynęła teraz dopiero w męty nocy.

Między gniewny turkot kół i chrobot wszelakiego żelastwa wplątała się już na dobre rozmowa Adonisa z damami. Franek patrzył z niechęcią na wstążeczki zachwyty, które, jak laurkę, opleciono zalotnego przyjaciela. Już go nawet odkarmiano kruchem ciastkami i sernikami, a piękne usta Janka odwdzięczały się słodyczą szelmowskich uśmieszków.

Franek odwrócił się z pogardą od tych „rodzynek w serze“, aby dalej kuć oczyma w szybę. Ale właśnie w przeciwległym kącie przedziału zahaczył się wzrok. Siedziała tam pani (panna — myślał), tak ślicznie obojętna na wszystko, co się wokół działo, tak czarnymi rzęsami sprzysiężona z książką, że można było doprawdy ucieszyć się porażką Adonisa. Tu nie trafił! — a właśnie ta jest najpiękniejsza ze wszystkich towarzyszek podróży! Smagłe policzki panny sklepiły się gładkim owalem, usta wyginały się rysunkiem milczenia. Wdzięczne oczy Franka poglaskały brązowe fale włosów i prawie zanepokoily się kształtem piersi, nie zatajonych popielatym lśnieniem bluzki.

Nie można było żadną miarą poskromić chęci patrzenia, a gdy na krótką chwilę zobaczył oczy czarne, złocone prążkami, niby agat, zdawało mu się, że może już obwołać swój triumf, niby wódz dzikich szczepów. Napewno biją w kraju bliskiego szczęścia gorące źródła radości, napewno kwitną wielkie, pachnące magnolje, niby różowe piersi! Jakieś nieznane dotąd słowa przedzierały się przez gardło, aby łaskotliwym dźwiękiem wyskoczyć na wargi. Zgniatło się je, jak czerwone, słodkie owoce, a oczyma bezustanku trzeba było podbiegać pod cień rzęs, czekając cierpliwie, czy znowu nie podniosą się ciemne powieki. Oddech bluzki rozsiewał zapach perfum gorzkich, jak woń kwiatu jabłoni w wiosennym sadzie, w rosie i w słońcu, w pluskającym szeleście kroków.

Franek myślał: — Trzeba, abym o niej nigdy nie zapomniał. Trzeba ją mieć w pamięci dla własnej pociechy. — I, patrząc, uczył się niemal napamięć każdego szczegółu jej twarzy.

Gdy wysiedli w Jazłowcu, padał dostojny, czerwony deszcz. Przeszli więc po tłustej mazi błota, jak po glistach, i na placu przed dworcem szukali swoich pojazdów. Adonis walił w tłum wozów, bryczek i karoc donośnym hasłem: Mianówka! — i jakoś tam, wśród przyćmionych, deszczem splakanych latarni odnalazł to, czego szukał. Chłopcy rzucili sobie krótkie, burkliwe: „Dowidzenia w każdą niedzielę w Jazłowcu!“, a Franek długo jeszcze błakał się

wśród kół, ogonów końskich i pyskiego wrzasku fornali.

Wreszcie dopytał się powozu z Kaliniec. Gdy wsiadał, woda z nastawionej budy spłynęła mu za kołnierza i przywarła mokrą plamą do koszuli, niby zimna ręka, która zniechęca chwyciła go za kark. Otrząsnął się z przykrego dreszczu i wszedł w ciemne wnętrze powozu. Lecz tu pochwycił pełnym oddechem znajomy zapach perfum, a zniecierpliwiony kobiecy głos domagał się, by wreszcie zajął miejsce.

Powóz zatańczył po błocie, niczem łódka na fali. Z lwim rykiem przemknął obok samochód, prychnąwszy jaskrawem okiem reflektorów. Narazie nie można jeszcze było uwierzyć temu, co się tu dzieje. Ciasno stało się oddechowi, i ramionom, i lędźwiom, w najdalszy kąt wtuliła się głowa, omroczone zdziwieniem. Myśli trzepotały się tu i tam, jak rozpięchłe stado ptaków. Trzeba je było spędzić zpowrotem, by obsiadły to zielone, szumiące drzewo cudu. Jechała przecież z nim piękna panna z przedziału!

Dopiero na wyboiskach złej drogi przypomniał sobie Franek, że trzeba się przedstawić. Mówili potem niezręcznie o pogodzie i fatalnych drogach. Skąpe słowa panny padały zrzadka, jak wielkie krople zimnego deszczu. Franek musiał się więc silić na tematy, które miały krótkie życie jętek. W długich pauzach milczenia dokuczał natrętny refren: Kim jest ta panna? Dlaczego i pociąga z nim w tym samym powozie do Kaliniec? Ale w żaden sposób nie można było przecież o to zapytać.

I tak już wypadło odbyć tę szczęśliwą, kwiatem jabłoni pachnącą podróż. Pod kołami chlapały rozmokłe deski mostków, gniew jakichś gałęzi strzepywał wodę na fartuch powozu, czyjs głuchy krzyk mijał na gościńcu, a głęboki cień nocy parskwał wilgocią. Czasem stuknęły o siebie kolana i twardo przywarły do siebie, czasem ramiona szesały się miękkim włosiem wełny rękawów. W dygocie oddechu wibrowało wtedy westchnienie, nabrzmiało jakby śmiechem i niepokojem.

Wreszcie raźniejsze klaskanie kopyt rozsypało się w klonowej alei. Powóz poderwał się i wpadł w szum drzew, zapachniało korą, trawą i ziemią. I wtedy nagle ostrem cięciem dopadło przypomnienie. Za chwilę zobaczy ojca — ojca — ojca!

Jak czarny nasyp ziemi zważyło się odrazu cudowne szczęście przygody i serce cofnęło się przerażone, jak przed nieuchronną katastrofą. Bo, jak, jakże tam będzie? Nic nie mógł teraz przewidzieć i dlatego sam siebie oskarżał, że przestał wśród długich godzin podróży myśleć o tem jednym, najważniejszym. Pociąga dziecinnie i niemądrze zabawiał się w „spotkane szczęście“, gdy trzeba było myśleć, niby brodatą twarzą czarodzieja-zaklinacza, ustawić ku domowi, ku ojcu. Tajemne znaki woli byłyby może ogrzały chłód oczekujących go powitań i nakazały ramionom ojca serdeczność uścisków. A teraz, gdy nie doszły zaklęcia, może uderzy obojętność ojca, jak kamień w psa-włóczęgę?

KONIEC CZĘŚCI I.



## SZTUKA NA P. W. K.

Na wystawie Poznańskiej, która ma reprezentować całokształt dokonań narodu w ciągu dziesięciolecia — a więc i dokonań artystycznych — szczęśliwie uniknięto, o ile to wogóle możliwe, jednostronności i (z punktu widzenia jakiegoś przyszłego badacza-syntetyka) ułamkowości. A stało się to z dwu przyczyn. Pierwszą jest — wyjątkowo staranny i sumienny dobór eksponatów ze „sztuki czystej“. Drugą, i bodaj ważniejszą przyczyną, wywołującą wrażenie czegoś harmonijnego i względnie pełnego — jest ta okoliczność, że tym razem sztuki nie zamknięto wyłącznie pośród wyniosłych murów oficjalnego „Pałacu Sztuki“ — lecz że „płasa“ ona sobie swobodnie dosłownie „na ulicy“ — przejawia się w całym urządzeniu wystawy, w konstrukcji poszczegól-

nych pawilonów, w kompozycji materiału eksponowanego, w układzie zestawień statystycznych, nadesłanych przez instytucje rządowe. I dopiero dzięki temu, zwiedzający mogą sobie zdać sprawę — w przybliżeniu przynajmniej — z istotnego charakteru sztuki polskiej — dzięki temu, może się wytworzyć żywy i organiczny niejako do niej stosunek.

W wielkim Pałacu Sztuki zgrupowano blisko dwa i pół tysiąca obrazów, rzeźb oraz eksponatów z zakresu sztuki stosowanej — będących wyrazem artystycznego wysiłku Polski Odrodzonej.

Jako punkt centralny, ośrodek, w którym pewne, najbardziej charakterystyczne tendencje najmocniej i najpełniej się wypowiadają, możnaby obrać sale, zajęte przez stowarzyszenie „R y t m“.

Punktem wyjścia dla malarzy „Rytmu“ jest przede wszystkim otaczająca rzeczywistość. Całe malarstwo polskie ubiegłego stulecia rzeczywistość zewnętrzną, świat najbliższy, widziany i nade wszystko odczuty — stawiało zawsze, jako moment pierwszy i najważniejszy swych wypowiedzi artystycznych. Ale właśnie dzięki owemu głęboko uczuciowemu stosunkowi, dzięki temu przepojeniu osobistą niejako sympatją każdego odtwarzanego momentu — ta rzeczywistość na obrazach naszych malarzy XIX w. jest zawsze mocno wyidealizowana. Podniesiona jest na jakieś wyniosłe szczyty, wsparta na koturnach idei — idei, która często przesłania sam wysiłek artystyczny.

Otóż charakterystyczna dla „Rytmu“ jest również owa idealizacja rzeczywistości — tylko że z zupełnie odmiennych wychodząca założeń i do odrębnych wiodąca wyników. Jest ona bowiem już wynikiem reakcji przeciwko owej supremacji idei w obrazie nad jego założeniami czysto malarskimi, formalnymi — reakcji, tak silnej w naszej epoce, przede wszystkim w zachodniej Europie. Dlatego owa idealizacja, która dawniej miała charakter ra-



Ludomir Śtendziński „Rytownik“.



Edvard Wittig: Projekt pomnika króla Władysława Warneńczyka w Warnie

czej jakiegoś romantycznego entourage'u, czy literackiego symbolizowania — w twórczości „Rytmu“ staje się poprostu systemem dekoracyjnym. Jest to cechą dominującą zarówno w twórczości takiego Borowskiego, jak Niesiołowskiego, jak przedwcześnie zmarłego Zaka, lub Wąsowicza — nie mówiąc, oczywiście, o Skoczylasie i Stryjeńskiej, których dekoracyjność wynika poprostu z charakteru ich sztuki.

Ta dekoracyjność, utajona w mniejszym lub większym stopniu w obrazach wszystkich „Rytmistów“, szuka sobie ujścia przede wszystkim w układach kolorystycznych. Nie chodzi tu zresztą o gwałtowne zestawienia kontrastowe — wręcz przeciwnie: podobnie, jak we Francji, hasłem dnia jest zróżnicowanie tonacyjne, rozpylenie niemal atomów barwy, wydobywanie jakichś niewiarogodnie delikatnych i subtelnych odcieni i poprzez nie budowanie zespołów kolorystycznych. „Post-impresjonizm“ francuski najbliższy jest „Rytmistom“ — post-impresjonizm, jako kontynuacja impresjonizmu, już nie w sensie podpatrywania tajemnic natury, lecz zdobywania autonomicznych wartości barwnych. I pod tym względem nawet malarstwo Pruszkowskiego, najbliższego impresjonizmowi, podpada pod ogólną formułę.

Te dłuższe i ogólniejsze nieco rozważania, właśnie z okazji sal „Rytmu“, mają swe uzasadnienie w tem, że ogromną ilość innych kierunków i ugrupowań artystycznych u nas można traktować, jako znajdującą się w stosunku mniej lub bardziej po-





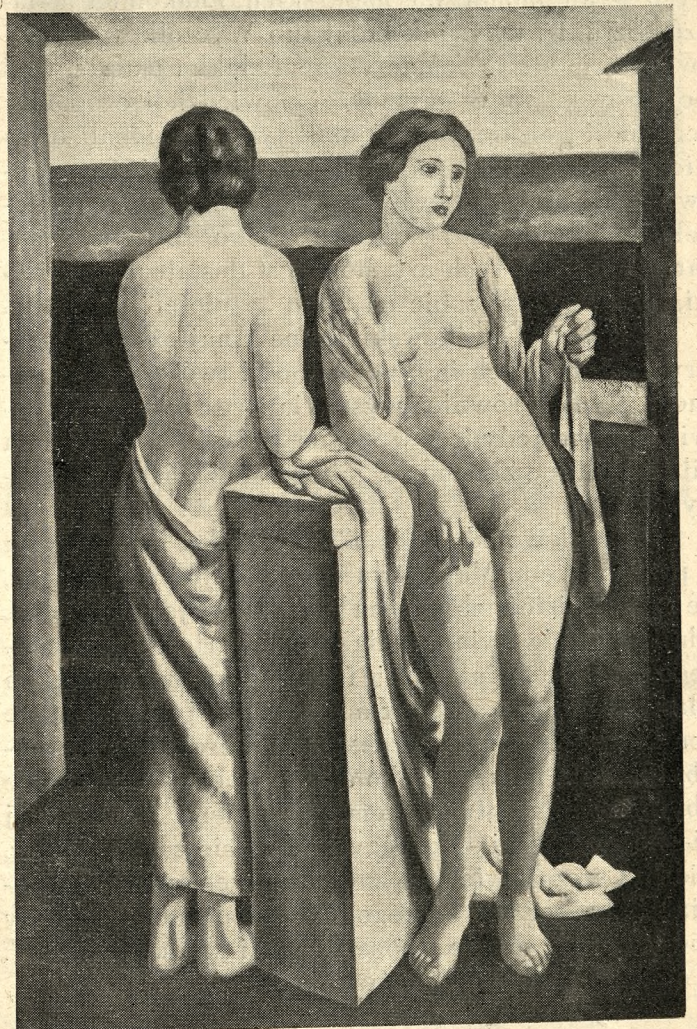
Wacław Borowski: „Odpoczynek po pracy“

każnych odchylen od tych właśnie tendencji — zasadniczo jednak zbudowaną na linii tej samej płaszczyzny. Punktem wyjścia jest w przeważającej większości wypadków — rzeczywistość zewnętrzna — przedmiot; ten przedmiot wystylizowany i wyidealizowany służy następnie, jako pretekst do swoistych formalnych poszukiwań malarskich. Tylko nie zawsze idą one w kierunku rozwiązań barwnych: Ślodziński, a za nim jego szkoła, zgrupowana w „Wileńskim Tow. Art.-Plastyków“, budują przede wszystkim formę, kształt, jako taki, po który sięgają aż do Italji czternastego wieku. Jeśli sam Ślodziński w swych ostatnich wystąpieniach zdaje się podejmować raczej nutę pewnego ekspresyjnego realizmu — to w twórczości jego „szkoły“ przebija właśnie wyraźna dążność do pewnego dekoracyjnego „zeschematyzowania“ — jeśli tak wolno powiedzieć — formy. W danym wypadku dążność ta jest, być może, posunięta nawet już zbyt daleko i grozi zbyt niemiernym zeszytnieniem, zaskrzepnięciem tego, co powinno pulsować żywą krwią.

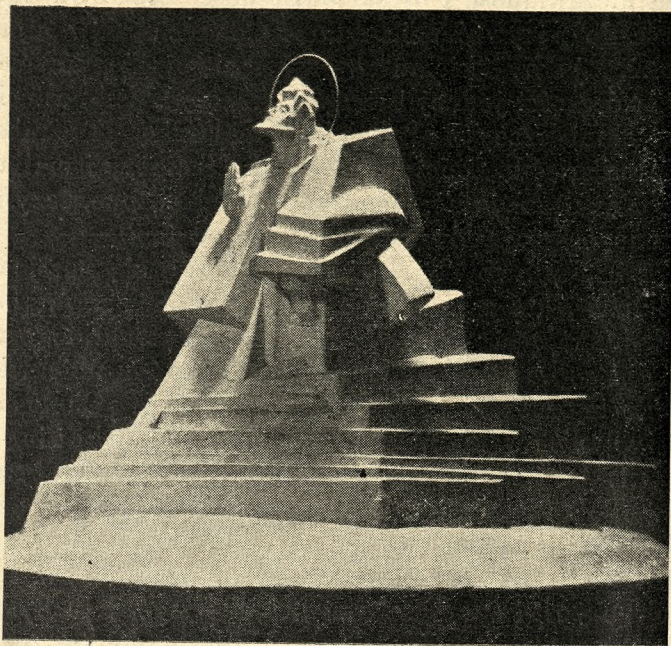
Podobnie nacisk na wydobycie formy przede wszystkim kładzie „Bractwo Św. Łukasza“ — młodzi artyści, wyszli z pracowni prof. Pruszkowskiego w warszawskiej Szkole Sztuk Pięknych. Ta grupa jednak opiera się raczej o realizm holendersko-niemiecki. Na tych, częstokroć bardzo uzdolnionych, malarzach zaciążył nieco ich zbyt niemierny paseizm, zbyt niemierny posługiwanie się starymi wzorami — pewna jakby twór-

cza niezaradność i niesamodzielność. Lecz owa dążność do przywrócenia autonomicznych praw obrazowi, „jako takiemu“ — wypowiada się również w twórczości jednej i drugiej „szkoły“, pod postacią rzetelnej pracy nad techniką malarską. Technika olejna wśród „Bractwa“, technika tempery i malunków na drzewie u Wileńczyków — odrodzone, oczyszczone, osiągają niezwykle wysoki poziom.

Na prawo od „Rytmu“ wznoszą się bastjony „Sztuki“, która tę wielce obowiązującą nazwę wielokrotnie w ciągu swego rozwoju pięknymi dokonaniami usprawiedliwiła. Założona w końcu ubiegłego stulecia przez tak wybitnych artystów, jak Chelmoński, Stanisławski, Wyczółkowski, Wyspiański i in. — i dziś jeszcze okazuje żywotność i świeżość. Prześięknięta tradycjami impresjonizmu, zezuje już dziś „Sztuka“ w osobach swych najwybitniejszych przedstawicieli, jak doskonały kolorysta Weiss np., w kierunku post-impresjonizmu francuskiego. I tu byłby punkt styczności z „Rytmem“, gdyby nie to, że w działalności „Rytmu“ przeważa o wiele silniej zaakcentowany moment poszukiwań czysto formal-



Tymon Niesiołowski „Kąpiące się kobiety“



Romuald Zerych: „Chrystus“

nych — autonomicznie malarskich. Znakomici malarze „Sztuki“, tacy, jak Fałat lub Wyczółkowski, potwierdzają swem romantycznym zlekka malarstwem pejzażowym to, cośmy wyżej powiedzieli o ogólnej tendencji polskiej sztuki ubiegłych lat: idealizowanie rzeczywistości otaczającej, podniesienie przy odtworzeniu jej nadewszyskto momentu swego subiektywnego do niej stosunku. Tylko, że sztuka malarski obydwu tych artystów jest dostatecznie wielki, by mogli oni sobie na takie „czułości“ pozwolić.

Xawery Dunikowski, jedna z najjęźszych, najoryginalniejszych indywidualności twórczych, w salach „Sztuki“ również wystawia swe rzeźby w drzewie, będące jedynem w swoim rodzaju połączeniem siły i kultury Zachodu z jakimś słowiańskim mistycyzmem.

A na lewo od „Rytmu“? — Sztuka, która zrywa z przedmiotem. Malarstwo abstrakcyjne, uważające, że rzeczywistość zbyt jest nawet, jako pretekst, dla tworzenia świata malarskich wartości, zamkniętego w sobie świata linii, form i plam barwnych na płaszczyźnie. Na wystawie poznańskiej reprezentuje ten kierunek grupa „Praesens“. Interesujące — niezbyt zresztą nowe — jako eksperymenty, ale trące zbyt intelektualizmem, wyjściem od pewnej ciasnej formułki — obrazy te (jak się zdaje zresztą, niezbyt szczęśliwie dobrane) nie przemawiałyby specjalnie na korzyść naszego ultra-modernizmu, gdyby nie to, co się dzieje... poza murami „Pałacu Sztuki“, a o czem za chwilę pomówimy.

Na pograniczu między sztuką „czystą“, a stosowaną, możnaby umieścić dział grafiki. Tutaj najpełniej mogą się wypowiedzieć tendencje dekoratorskie,

tutaj artysta musi zdać niejako egzamin ze swego poczucia materiału i techniki. I właśnie ten dział uprawnia nas, być może, do największego optymizmu.

Osiągnięcia w tym zakresie odznaczają się bowiem nietylko nader wysoką klasą — ale zarazem w całokształcie polskiej sztuki są wyrazem może najbardziej swoistego ustosunkowania się do świata, wyrazem najbardziej odrębnych, najbardziej „własnych“ treści. „Związek polskich artystów grafików“ oraz stowarzyszenie „Ryt“ reprezentują ten dział. Mistrzowskie litografie Wyczółkowskiego, pełne głębokiej kultury prace Pankiewicza — wybijają się spośród eksponatów „Związku“; wśród „Rytu“ zaś, poza świetnymi drzeworytami prof. Skoczylasa, któremu wogóle w pierwszym rzędzie przypisać należy zasługę odrodzenia u nas sztuki drzeworytniczej — przedewszystkiem trzeba wymienić dwie kobiety, jedne z najciekawszych indywidualności wśród młodszego pokolenia artystycznego: Krasnodębską i Konarską.

Nie zatrzymując się dłużej przy działalności całego szeregu innych naszych ugrupowań plastycznych, jak „Pro Arte“, „Plastyka“, „Jednoróg“ — oraz w sali Honorowej, reprezentującej nasze arcydzieła malarskie XIX w. — możemy stwierdzić po krótkim tym przeglądzie jedno: sztuka polska w okresie dziesięciolecia wzbiła się na poziom wysoki; niższy, oczywiście, od tego, który zajmuje malarstwo francuskie, czy np. włoskie, lecz w każdym razie na poziom, który, w części przynajmniej, równoważy tę dziwną dysproporcję, jaka zawsze istniała u nas między sztuką plastyczną, a np. literaturą.

Ta dysproporcja była zawsze wyrazem naszej specjalnie wysoko rozwiniętej kultury słowa, kultury wyrazu — w stosunku do niezwykle niskiej kultury wizualnej. I obecny przegląd artystyczny w Poznaniu pozwala stwierdzić przedewszystkiem wysiłek, idący w kierunku podniesienia tej kultury wizualnej, w kierunku wysubtelnienia smaku, poczucia koloru i zespołów formalnych. Może, w związku z wyteżoną pracą w tym kierunku, niebyło dotąd poprostu czasu na wytworzenie się jakiejś nowej, a odrębnej, polskiej właśnie — treści malarskiej. W zasadzie, poza indywidualnościami o tak burzliwym, nie dającym się zamknąć w żadnej formułce, temperamentem artystycznym, jak Zofja Stryjeńska, jak członek „Rytmu“ — Rom. Kamil Witkowski, malarz o zupełnie swoistem spojrzeniu na świat, o niezwykłym, ekspresyjnym kolorycie, poza kilku mistrzami tej miary, co Wyczółkowski, Fałat, Dunikowski i kilku, wymienionymi wyżej jednostkami z młodego pokolenia — najlepsze nawet dzieła naszej sztuki współczesnej przemawiają językiem — międzynarodowym, względnie, pseudo-francuskim.

Najbardziej oryginalne oblicze ukazuje sztuka

polska, jak się rzekło, w dziale grafiki, a pozatem jeszcze — w zakresie sztuki stosowanej. W „Pałacu Sztuki”, poza okazami sztuki „czystej”, mamy również okazy meblarstwa i tkanin, wystawione przez wytwórnice „Ład”. Szlachetna prostota formy, harmonja motywów, subtelność zestawień barwnych — a nade wszystko, głębokie wczucie się w naturę materiału, z którym się ma do czynienia — charakteryzują te wyroby.

Jeśli już mowa o meblach, to należy wspomnieć jeszcze o interesujących projektach mebli kolorowych (p. f. „Meko” — p. Janiny Grossmanowej z Warszawy), wystawionych w pawilonie Polskiej Sztuki Zdobniczej, zresztą bardzo nieciekawym. Te trójkątne, różnej wielkości stoliki i taboreczki, odznaczające się niezwykłą prostotą i ścisłą celowością formy, budzą wrażenie świeżości i miłego komfortu, dzięki czystym, wesołym barwom, w których są utrzymane (czerwone, błękitne, żółte, zielone).

Może najmocniej i najbardziej swoiście wypowiedział się jednak instynkt artystyczny w samej właśnie konstrukcji poszczególnych części Wystawy, w przedmiotach bezpośredniego użytku: w budowie stoisk wystawowych, w układzie tkanin (np. w pawilonie przemysłu włókienniczego), a specjalnie w graficznych wykresach, w montażach fotograficznych, w efektownych reklamowych instalacjach świetlnych. I taki ubogi i nieco nudny w sali wystawowej modernizm polski tutaj właśnie pokazał, co umie. Owa jednolitość kompozycji, operowanie mocnymi, kontrastowymi plamami barwnymi, lub też świetlnymi, odwaga w nieoczekiwanych zestawieniach geometrycznych form — doskonale się przydały, zastosowane nie jako martwe „systemy abstrakcyjne” w obrazach ramowych, lecz organicznie i dynamicznie niejako związane z określonym przedmiotem i z określonym celem. Najlepszym przykładem mogą być sale Min. Pracy i Opieki Społecznej w Pałacu Rządu — w których suche statystyczne dane i w schematycznym skrócie zebrana działalność Ministerstwa — zostały uplastycznione pod postacią barwnych wykresów, na pomysłowych kolorowych, lub rozświetlonych tarczach, w szeregu groteskowo zestawionych fotografii — tak przejrzyście, racjonalnie, i z takim smakiem, że byle laik zatrzymuje się tutaj przez długie godziny, jak przed niezwykłą sensacją.

Sztuka polska jest organizmem niedość może jeszcze skoordynowanym, ale żywym i pulsującym — czuje się w nim drzenie przenikających się wzajemnie sił.



## Z TEATRÓW



Scena ze „Ślubów Panieńskich” w Teatrze Małym.  
Modzelewska w roli Klary i Maszyński w roli Albina.

## KOBIETA W ŚWIECIE I W DOMU

### KOBIECY DOM KLUBOWY W NOWYM YORKU.

Domem takim, o 28 piętrach, może poszczycić się Amerykańskie Zjednoczenie Kobiectw w Nowym Yorku. Powstał on dzięki energii i inicjatywie przewodniczącej tegoż Zjednoczenia p. A. Morgan, a urządzony został według wszelkich zasad higieny i wygody z wydatną pomocą p. W. K. Vanderbilt, przewodniczącej komitetu „umeblowania”.

Na 28 piętrach mieści się 1250 pokoi, wygodnie i estetycznie umeblowanych, dla członkiń klubu, kobiet pracujących zawodowo i zarobkowo. Za niewielką stosunkowo tygodniową opłatą, zależnie od wielkości i rodzaju pokoju, dają one schronienie licznym samotnym kobietom.

Oprócz pokoi mieszkalnych, w domu tym zbudowano ku wygodzie mieszkanek salę biblioteczną, wspaniale wykładaną drzewem jodłowym, basen do pływania, salę teatralną, salę gimnastyczną, prześliczne ogrody na dachach, salę balową, restaurację, leżalnię i patio.



*Pokój w Domu Klubowym Amerykańskiego Zjednoczenia Kobiet.*

Każda członkini klubu nie tylko mieszka wygodnie, ale po pracy ma w domu swego Zjednoczenia wszystko, co sprzyja racjonalnemu odpoczynkowi, co podtrzymuje zdrowie, a jednocześnie ma na miejscu zapewnioną rozrywkę i możliwość zaspokojenia potrzeb intelektualnych.

M. D.

#### ZAKOŃCZENIE ZJAZDU MAŁEJ ENTENTY KOBIEC.

W zakończeniu obrad V Zjazdu „Petite Entente des Femmes“ w Warszawie w dniu 28 czerwca 1928 dokonano nowego wyboru. Po zrzeczeniu się Czeszek, przewodnictwo i siedziba Biura Głównego przypadła na rok następny Rumunii z ks. Aleksandriną Cantacuzène, jako prezeską. Na wiceprezeskę wybrano dr. J. Budzińską - Tylicką, przewodniczącą Grupy Kobiect.

Na zamknięciu obrad uchwalono przesłać p. Prezydentowej Mościckiej, bawiącej w Krynicy, następującą depeszę:

„Zjazd Małej Ententy Kobiet składa Pani podziękowanie za stałe popieranie sprawy kobiecej“.

Uczestniczki Zjazdu — Czeszki, Rumunki, Jugosłowianki i Greczynki — rozjechały się już do swych krajów. Wszystkie zwiedziły Wystawę Powszechną w Poznaniu, wyrażając się z zachwytem o tym przeglądzie życia i twórczości Polski dzisiejszej.

#### FUNDACJA MAŁEJ ENTENTY KOBIEC.

#### STYPENDJUM DLA POLKI W AKADEMII NAUKOWEJ W BUKARFESZCIE.

Wybrana na zjeździe w Warszawie nowa prezeska Małej Ententy kobiet, ks. Al. Cantacuzène, wysłała do p. ministra oświaty list następujący:

„Panie Ministrze!

Sekcja rumuńska Małej Ententy Kobiet ma zaszczyt zawiadomić Pana, iż pragnąc przyczynić się do wytworzenia ściślejszych stosunków między Rumunią a Polską, postanowiła ufundować stypendjum dla młodej Polki, absolwentki szkoły średniej, w celu odbycia studjów w Akademii Handlowej w Bukareszcie, poczynając od października 1930 r. Kandydatka będzie wybrana przez przedstawiciela polskiego Ministerstwa Oświaty w porozumieniu z p. dr. Budzińską - Tylicką, prezeską polskiej grupy Małej Ententy Kobiet wraz z posłem rumuńskim w Warszawie, z pośród młodych pań, rozumiejących ważną rolę, jaka im przypadnie.

W nadziei, że tak Rząd polski, jak i Pan Minister zechce zainteresować się tym projektem z całą życzliwością, proszę by Pan zechciał przyjąć wyrazy etc.

ks. Al. Cantacuzène,

Przewodnicząca P. F. F.“.

#### NERWY DZISIEJSZEGO MĘCZYZNY NIE WYTRZYMAJĄ...

Amerykańska pisarka, p. Lois Kent, znana jest ze swych mądrych życiowych poglądów, jakie szerzy w prasie na użytek swych współobywatelek i obywateli.

Oto co mówi o typie „słabej“ kobiety:

— Jeszcze niedawno temu wyśmiewano się z wysportowanej, muskularnej, niezależnej kobiety, przeciwstawiając ją, jako typ „kobiecie słabej“, rzekomo naturalnej i jedynie podobającej się mężczyźnie.

Dziś już jednak bardzo mało miejsca zostało dla pań, które potrzebują dużego, silnego mężczyzny, aby je chronił i utrzymywał. Zresztą, mężczyźni sami, którzy czuli się dawniej dobrze w roli takiego chroniciela, uświadomili sobie, że im bardziej „kobieca“ jest panna, im bardziej niesamodzielną, tem jest pewniejsze, że z czasem stanie się im nieznośnym kamieniem młyńskim, uwieszonym u szyi...

Żadna istota ludzka nie ma prawa wymagać od innej, by jej poświęcała całe swe życie — a takie przecież żądanie stawiają „słabe“ kobiety swym mężom! Tak jak oczekiwały od ojców i braci, by za nie wygładzali twarde ścieżki życia — tak potem obowiązkiem tym obarczają mężów. Ale rola romantycznego obrońcy słabości i niewinności musi z czasem podziać na nerwy najlepszemu mężczyźnie. Może w momentach pierwszej miłości dla żony pragnął oszczędzić jej wszelkich trudności i ciężarów życia — przychodzi jednak chwila, że byłby bardzo zadowolony, gdyby ona sama umiała za siebie walczyć.

„Ach, moja droga! ja się o nic nie troszczę. Mój mąż załatwia sprawy pieniężne, płaci rachunki i stara się o wszystkie te nieprzyjemne sprawy: Nie chce, bym sobie nad tem głowę łamała — a zresztą, czyż to nie obowiązek mężczyzny?“

Biedny mężu takiej żony!!

On kupuje bilety kolejowe, on nadaje bagaże, on przyjmuje służbę i on ją oddala. On rozprawia się z dziećmi i naradza się z nauczycielkami, gdy coś w szkole jest nie w porządku: on przegląda wydatki i rachunki z kucharką, niekiedy nawet musi myśleć o szrotkach do ubrania i obuwiu.

Niektóre kobiety myślą, że poza bezbronności dodaje im wiele czaru. Niektórzy mężczyźni myślą to samo o ukochanej — ale tylko przez chwilę...

„Jednak mężczyźni nie lubią kobiet pewnych siebie“ — słyszy się niekiedy. — „Pochlebia im, gdy kobieta nie umie stać na własnych nogach i musi szukać ich opieki“.

Czyż tak jest naprawdę? Nie wierzę.

j. k.



*Pani Anna Morgan, przewodnicząca Zjednoczenia Kobiet Amerykańskich.*

## O OTRZYMANIU DOBREGO PLONU POMIDORÓW

### II.

#### Zasilanie gleby i zbiory.

Niedość jest obrać którykolwiek z wymienionych poprzednio sposobów prowadzenia pomidorów — trzeba jeszcze w czasie ich wzrostu odpowiednio zasilić glebę, a także utrzymywać ją w czystości.

Pomidory zwykle przyjęto jest sadzić na obroniku, ale dobrze jest w czasie wegetacji, np. przed okopaniem (bo okopać powinniśmy krzaki zawsze — nawet te, co przywiązujemy do palików), dać pod każdy krzak trochę nawozów sztucznych.

Robimy to w bardzo prosty sposób. Obliczamy sobie przestrzeń, jaką zajmują pomidory. Jeżeli posadzone są co 1 m. na krzyż, to na każdy krzak wypadnie 1 m<sup>2</sup>, więc na 1 arze (100 m<sup>2</sup>) będziemy mieli 100 krzaków.

Na 1 ar dajemy:

0.80 kg tlenku potasu = 3 kg soli potasowej kalskiej 27 proc.,

0.50 kg. kwasu fosforowego = 3 kg. superfosfatu. 17 proc.,

0.35 kg azotu = 2 $\frac{1}{2}$  kg saletry chilijskiej 15.6%.

Nawozy powyższe należy rozsypać na 1 arze, to znaczy, na 100 krzaków pomidorów. Radziłabym zrobić mieszaninę z wyżej wymienionych ilości nawozów sztucznych. Po dokładnem wymieszaniu (można dodać trochę piasku dla łatwiejszego wymieszania), wymierzyć miarką ilość, wypadającą pod 1 krzak pomidorów, i rozsypać wokoło każdej rośliny. Sypać trzeba uważnie, aby zbyt dużo nawozów nie dostało się bezpośrednio pod krzak — gdyż mogłoby to uszkodzić samą roślinę.

Naturalnie, jeżeli krzaków na 1 arze będziemy mieli więcej, bo zostały gęściej posadzone, to porcję powyższą trzeba rozdzielić proporcjonalnie do ilości krzaków. Po rozsypaniu należy ziemię między krzakami przemotykować, a następnie w parę dni potem krzaki obsypać.

Krzaki, posadzone jednym rzędem pod południowym murem, należy obliczyć i dać każdemu przypadającą mu część mieszaniny nawozowej.

Wymienione nawozy sztuczne są to sole, łatwo bardzo rozpuszczające się w wodzie, a co za tem idzie, łatwo przyswajalne dla rośliny.

Pomidory, jak wszystkie rośliny, należące do rodziny psiankowatych, potrzebują dla swego normalnego rozwoju dużej ilości potasu. Gdy więc podamy go w stanie łatwo przyswajalnym, rośliny od razu zaczną go czerpać, a tem samem — rozwijać się lepiej.

Azot służy do tworzenia większej masy zielonej, a więc do bogatszego rozrostu liści.

Fosfor natomiast sprzyja tworzeniu się i normalnemu dojrzewaniu owoców.

Dla przykładu pozwolę sobie podać parę cyfr z własnych doświadczeń, które, zdaje się, dość wyraźnie przemówią na korzyść zasilania krzaków pomidorowych nawozami sztucznymi.

Na poletku 40 m<sup>2</sup> — to znaczy z 40 krzaków pomidorów, które nie dostały nawozów sztucznych, zebrano ogółem 49,3 kg owoców, w tem było 6 proc. owoców zielonych.

Na poletku zupełnie takim samym, tylko zasilonem nawozami sztucznymi w wyżej wymienionych dawkach, zebrano 92.1 kg owoców i tylko 3 proc. było owoców niedojrzałych.

Pomidory te (odmiana francuska „Pierreble“) prowadzone były na 2 pędy, przywiązane do palika.

Trzecim warunkiem otrzymania dobrych owoców jest sposób zbierania. Nigdy nie należy zrywać owoców zielonych, jak to mają zwyczaj robić ogrodnicy. Prawda, że gdy zerwiemy owoce, które zaczynają już żółknąć, a nawet „zbieleją“ i włożymy je między słomę pod okna inspektowe — otrzymamy dojrzałe owoce wcześniej, niż gdybyśmy je pozostawili na krzaku, ale czy warto dla wcześniejszego dostania owoców dojrzałych tracić na ich wyglądzie i smaku?

Przecież owoc, dojrzały na krzaku, kiedy do samej pełnej dojrzałości czerpie pokarm z rośliny, wytworzy odpowiednią ilość cukru i kwasu organicznego, a więc nabierze swego prawdziwego smaku — jest bezwarunkowo lepszy i zdrowszy.

To też tym czytelnikom, które mają pomidory w ogrodach tylko na własny użytek — radziłabym być cierpliwymi i nie zrywać przedwcześnie owoców.

Inaczej rzecz się ma, gdy ktoś produkcję pomidorów traktuje handlowo, gdzie każdy dzień zwłoki odgrywa znaczną rolę, gdyż chodzi tu o otrzymanie jak najlepszej ceny — tam radziłabym stosować owe przyspieszone dojrzewanie. Jednak choć część pomidorów, dla siebie, powinno się zostawić do zupełnego dojrzewania na krzaku.

Zrywać pomidory trzeba ostrożnie, aby pozostałe na gronie, jeszcze niedojrzałe owoce, nie oblatywały — i kłaść je do kosza lekko — nie rzucać.

Jeżeli składamy je następnie pod okna inspektowe, to powinniśmy oberwać ogonki, które po uschnięciu robią się ostre i kaleczą owoce.

Do wysyłki pakujemy pomidory w skrzynki drewniane — 10 — 16 kg. Rynek warszawski kupuje pomidory na paczki pudowe — (16 kg) — rynki innych miast, mniejszych, są pod tym względem mniej wymagające i można pomidory wysyłać w koszach. Radziłabym jednak pakować w paczki lub kosze niewielkie, gdyż pomidory łatwo się gniją.

Na dalekie transporty musimy do skrzynek

układać pomidory niezupełnie dojrzałe — dojrzeją one w drodze.

Pomidory, które wysyłamy na rynek, powinny być b. dokładnie sortowane: wszystkie uszkodzone, np. popękane lub nadpsute, należy odrzucić, a także przebrać owoce na tak zwane „dobory“ — co do wielkości. Ma to duże znaczenie dla uzyskania wyższej ceny.

Zofja Wróblewska.



## ODŻYWIANIE A ZDROWIE

### II.

Gruzoły ślinowe działają pod wpływem wrzeń, jakich dostarczają spożywane pokarmy.

Cały przewód pokarmowy: jama ustna, żołądek, dwunastnica, кишки cienkie, кишки grube — to jakby wagony pociągu. Gdy pierwszy dostaje impuls — wszystkie są w ruch wprowadzone. Gdy ślina zbiera się w jamie ustnej, aby zapoczątkować trawienie, daje tem samem znać dalszym częściom przewodu, aby rozpoczęły pracę.

W żołądku zbierają się kwasy, w miarę wydzielania się śliny, stąd zrozumiałe jest, że potrawy, sprawiające specjalną przyjemność, a co za tem idzie, powodujące wydzielanie się śliny (wszelkie korzenie, przyprawy kwaskowe, słone), są zabronione przy nadkwaśności żołądka.

W jamie ustnej jedzenie przez żucie rozdrabnia się i mięsza ze śliną tak dokładnie, aż kęs staje się miękki i śliski i przejść może swobodnie przez przełyk bez jego uszkodzenia. Ślina również ma znaczenie chemiczne: pod jej wpływem mączka czyli krochmal, zawarty w pokarmie, zamienia się na substancję, zwaną dekstryną, i na cukier. Im kruwszy i twardszy jest pokarm, tem bardziej zmuszeni jesteśmy do żucia, a więc śliny wydziela się wtedy więcej, co jest pożądane zarówno ze względu na przebieg trawienia w jamie ustnej, jak i w żołądku i kioskach.

Papka pokarmowa dostaje się przez przełyk do żołądka. Średnia objętość żołądka posiada około 1 i pół litra. Wymieszana z pożywieniem ślina w dalszym ciągu trawi mączne części, a białko, t. j. główny składnik mięsa, ryb, jaj, sera — zostaje trawione przez sok, wydzielający się ze ścian żołądka. Sok żołądka normalny zawiera w połowie kwas solny i nie wywiera prawie żadnego wpływu, jedynie na tłuszcz i na celulozę. Najdłużej w żołądku pozostają pokarmy b. tłuste, szczególnie tłuste mięsa; najkrócej — mączne i soki owocowe.

W kioskach cienkich, pod wpływem żółci i so-

ku trzustkowego, odbywa się trawienie tłuszczu i dalsze trawienie białka i krochmalu; tam też następuje wessanie pokarmu do krwi. Kiszka cienka przechodzi w kioskę grubą, która przebiega w postaci prostokąta, otwartego ku dołowi; w niej następuje wessanie wody, i nagromadzone części niestrawione, a nie rozpuszczające się w wodzie, zostają wydalone. Części niestrawione, rozpuszczające się w wodzie, wydalone są przez nerki i pęcherz.

Podaję kilka diet przy chorobach żołądkowych: 1) przy niezycie wskutek przejedzenia; 2) przy nadmiernej ilości kwasów; 3) przy niedostatecznej ilości kwasów.

Naogół we wszelkich niedomaganiach żołądkowych należy: 1) mniej solić, 2) wyłączyć wszelkie korzenie, cebulę i ocet, 3) wogóle zmniejszyć ilość jedzenia, starać się zaś jaknajdłużej w jamie ustnej je przeżuwać.

Nadkwaśność żołądka zdarza się często przy owrzodzeniu żołądka (ulcus ventriculi). Dietę określa lekarz i należy ściśle się jej trzymać, bo systemów leczenia dietetycznego wrzodu w żołądku jest wiele i każdy ma swoje uzasadnienie.

Gdy chory zakończył przepisaną przez lekarza kurację, powinien jeszcze: 1) unikać pokarmów, które powodują wydzielanie się śliny, a, co za tem idzie, — soków żołądkowych, więc unikać wszelkich kwasów, rosółów, pokarmów słodkich, potraw słonych, ostrych; 2) jadać purée z jarzyn, przecierane kasze i ryż, kleiki, a więc pokarmy, łatwo opuszczające żołądek i przez to zmniejszające bóle.

Bóle przy wrzodzie w żołądku, jak to nowsze badania wykazały, nie są spowodowane nadmiarem kwasów, lecz zbytnią aktywnością muskulatury żołądka. Żołądek chorego na „ulcus ventriculi“ ma zawsze charakterystyczne odbicie na fotografii Rentgena; może być np. w jednym miejscu wklęsły, w innym — nierównomiernie wypukły.

Aby osłabić kwasowość żołądka, należy przyzwyczaić chorego do potraw mlecznych, o smaku raczej mdłym (wydziela się wtedy mniej kwasów żołądkowych).

Gdy chory czuje się jeszcze niezbyt dobrze, gdy się pojawiają bóle na pół godz. przed i na pół godz. po jedzeniu, trzeba chorego na jakiś czas poddać diecie następującej: Co 2 godziny pół szklanki mleka + pół szklanki śmietanki; potem dodawać do powyższego 2 razy na dzień ciepły kleik z mlekiem, wreszcie kleik można zlekka osłodzić (mała ilość cukru wpływa korzystnie); podawać lekką kawę zbożową, mleczne kakao; zupy mleczne z kaszką manną; mięso skrobane lub białe pieczone i drobno usiekane. Dodawać do napojów (kakao, kawa zbożowa) prócz cukru zwykłego — cukier mleczny w ilości 1½ — 2 płaskich łyżek na szklankę

Gdy już zupełnie niema bólów, 6 razy na dzień zachować dietę normalną, ale wszystkie jarzyny i owoce muszą być przecierane.

Wogóle racjonalne gotowanie w tym wypadku musi być przestrzegane pilnie. Poświęcę temu ważnemu tematowi następną pogadankę.

Marja Morzkowska.



### ZUPA JARZYNOWA PRĘDKA.

Wziąć równe części młodej karotki, zielonego groszku (ziarn i oczyszczonych z pergaminów łuski strączków), kalarepki, kartofelków i t. p. — wszystkich jarzynek, jakie mamy w danej chwili pod ręką. Pokrajać w paski nieco grubsze, niż na „julienne”. Czterdzieści deka takich jarzyn zalać litrem i ćwierć wody, gotować wolno, aż zmiękną, obierając, od razu gałązkę koperku, korzonek pietruszki, i pół cebuli te trzy przyprawy po ugotowaniu należy usunąć). Zaprawić zupełną pięcioma deka dobrego masła i łyżką mąki, zagotować razem. Nakoniec rozbić dwa żółtka ze szklanką mleka lub śmietanki. Wlać do zupy, zagrząć razem i, nie gotując już, wylać do wazy, gdzie przygotowano trochę usiekanego koperku. Gotuje się dwadzieścia minut. Kto chce mieć zupełny smak mięsny, może, gotując, włożyć kawałek buljonu „Ninabur”, rozmiaru włoskiego orzecha.

**Najaktualniejszą obecnie jest książka p. t.**

## „Potrawy z jarzyn“

**która daje szereg praktycznych i nowych przepisów.**

**CENA 1 zł. 50 gr.**

**Z PRZESYŁKĄ POCZTOWĄ 1 zł. 80 gr.**

Wysła Administracja — Warszawa, Plac Zamkowy 9, po otrzymaniu należności przekazem, lub na konto P.K.O. T-wa „Bluszc”, Nr. 13.555

### BUDYŃ Z JARZYNEK MIĘSZANYCH

Karotkę, groszek (w strączkach i ziarnach), kalafjory lub szparagi, fasolkę zieloną lub szparagową, młode kartofelki, kalarepkę i t. p. oczyścić, opłókać i dobrze osączyć. Pokrajać w dosyć grubą kostkę. Gotować ani blanżerować ich nie należy, gdyż dużo części pożywnych w wodzie pozostaje, a młode jarzyny w budyniu się doskonale ugotują. Na kilo takich jarzynek rozbić cztery—pięć jaj i dużą, kopiątką łyżkę mąki w trzech szklaneczkach dobrego mleka lub śmietanki, osolić. Formę budyniową wysmarować masłem, wysypać bułeczką. Rzędami układać jarzynki, tak, aby kolory się ładnie odcinały, lekko solić rząd każdy. Zalać przygotowanym płynem. Gotować na parze około dwóch godzin. Po wyrzuceniu na półmisek polać zrumienionym masłem z bułeczką. Kto lubi, może przesypywać jarzynki siekanym koperkiem lub koperkiem i pietruszką razem. Można do tego budyniu podać sos śmietanowy, lub biały koperkowy.

### ZRAZIKI CIEŁĘCE NA GRZANKACH

Pół kilo cieleciny sznycelowej pokrajać na osiem cienkich zrazików i zbić jaknajmocniej. Dwadzieścia deka oczyszczonych pieczarek pokrajać w cieniutkie płatki, poddusić wraz z utartą na tarce cebulą w łyżce masła (5 deka), zaprawić łyżką mąki, posolić, popieprzyć, wlać szklankę (kwaterkę) rzadkiej, kwaśnej śmietany, zagotować razem i ostudzić. Połową tych pieczarek posmarować cienko zraziki, zwinąć mocno, obwiązać nitką, zrumienić ładnie na maśle. Przełożyć z tem masłem do rondelka, podlać rosołem lub wodą i dusić dwadzieścia minut. Solić dopiero po usmażeniu. Przygotować osiem grzanek z bułki, zrumienić je z obu stron na maśle lub fryturze, na każdej ułożyć po zraziku (nitki starannie usunąć). Drugą połowę grzybków rozprowadzić rosołem lub wodą do gęstości zwykłego sosu i sosem tym polać ułożone na półmisku zraziki. Podawać zaraz, aby grzanki nie rozmokły.

### KAWA MROŻONA

Sześć żółtek utrzeć z czterdziestoma deka cukru. Gdy masa zbieleje, zaprawić nią pięć szklanek ugotowanego mleka i ogrzewać na ogniu, aż zacznie gęstnieć, uważając, aby się nie zagotowało, gdyż żółtka się zwarzą. Dodać szklankę bardzo mocnej kawy, ugotowanej bez cykorji, z trzech deka świeżo upalanej i mielonej „mocca” lub innego aromatycznego gatunku. Ostudzić dobrze, wlać do formy od lodów i zamrażać, jak zwykle, nie żałując soli do lodu. Gdy masa stanie się kaszkowata, wlać trzy białka i zamrażać dalej, aż zgęstnieje zupełnie, jak każde lody. Pół litra śmietanki ubić na krem, zmieszać

z trzema łyżkami cukru - pudru, utłuczonego z kawałkiem wanilji. Nakładać do szklaneczek - szampanek nieco więcej, niż połowę kawy mrożonej, dopełniać kremem i natychmiast podawać. Z tej proporcji wyjdzie 20—24 szklaneczki.

KONSERWA Z RABARBARUM.

Najgrubsze łydgi rabarbaru obrać delikatnie z cienkiej skórki, pokrajać w trzy centymetrowe kawałki, dać im obeschnąć godzin parę. Ugotować syrop prawie tak gęsty, jak na konfitury (półtorej szklanki wody na dwie szklanki kryształ). Na gorący rzucać kolejno taką ilość rabarbaru, aby płyn je objął, natychmiast odstawić na brzeg blachy, żeby się syrop nie gotował. Po dwóch minutach rabarbaru wyjąć na półmisek i włożyć do zagotowanego ponownie syropu drugą jego partję. Gdy wszystko zblanżujemy, ostudzić syrop i owoc. Nałożyć w kompotjery - sterylizatory, dobrze wstrząsając, zalać syropem (na palec niżej brzegu słoja), zamknąć, jak zwykle, wstawić w kocioł lub w aparat Weck'a i sterylizować dwadzieścia pięć minut od chwili zagotowania. Kto chce zaromatyzować ten wyborny kompot, może włożyć do każdego słoja półcentymetrowy kawałek wanilji, lub trochę żółtej skórki cytrynowej.

Pani Elżbieta.

KORESPONDENCJE

Pani St. S. — Witkowice. — Szkoda, że Sz. Pani czyściła już płamę na okryciu, bo wgrzyła się i będzie trudno ją oczyścić. Powinna puścić od amonjaku, dobranego wodą, albo od eteru.

Pani H. Z. — Mieczysławów. — Niech Sz. Pani zwróci się do firmy W. Szenajch: Al. Jerozolimskie 8. Tam wskażą Pani odpowiednie futro. Proszę powołać się na naszą Redakcję. Firmie można zaufać w zupełności.

Pani E. F. — Zakopane. — Do batikowania używa się tylko farb roślinnych, o ile robota ma być trwała i odpowiadać wymienionym przez Sz. Panią warunkom.

Pani M. D. — Staszów. — Państwowe kursy akuszeryjne przy Klinice Uniwersyteckiej, Starynkiewicza Nr. 3. Miejskie — przy zakładach akuszeryjno - ginekologicznych: Księżny Anny Mazowieckiej (Karowa 2) i Ś-tej Zofji (Żelazna 90) w Warszawie.

Pani W. S. — Sielce. — Nie podaje nam Sz. Pani różnych wskazówek, co do rodzaju szkół gospodarczych i miejsca, gdzie mają się znajdować: w Warszawie, czy na prowincji? Szkół gospodarczych jest wiele, o różnym zakresie — musimy zatem czekać bliższych informacji, a tymczasem radzimy kupić zeszyt, wydany przez Ministerstwo Oświaty, pod tytułem: „Spis Szkół Zawodowych“. Znajdzie w nim Sz. Pani adresy szkół tego typu w całej Polsce. Bardziej znane są: Seminarjum gospodarze (Nowowiejska 45) i Szkoła Gospodarcza (Górnośląska 29) w Warszawie. Na prowincji: Chyliczki — poczta Piaseczno, Julin — poczta Łochów, Kuźnice pod Zakopanem, Snopków pod Lwowem, Pniewy — zakład Sióstr Urszulanek — poczta Pniewy — i t. d.

Skończy się codzienna troska dysponowania obiadów dla każdej z pań, która nabędzie książkę p. t.

„Dyspozycje śniadań, obiadów i kolacyj“


Książka ta ułatwia prowadzenie domu, podając racjonalnie zestawione menu na wszystkie pory roku.

Cena 1 zł. 50 gr.


Z przesyłką pocztową 1 zł 80 gr.

Wysyła Administracja — Warszawa, Plac Zamkowy 9, po otrzymaniu należności przekazem, lub na konto P. K. O. T-wa Wyd. „Bluszcz“ Nr. 13555.

**WŁOSÓW** WYPADANIE I ŁUPIEŻ USUWAJĄ  
**ESENCJA I MYDŁO**  
**CHINOWO-CHMIELOWE** (z „KOGUTKIEM“).  
 SPRZEDAJĄ APTEKI, SKŁADY APTECZNE  
 I PERFUMERJE. — GŁÓWNY SKŁAD:  
 APTEKA A. GAŚECKIEGO W WARSZAWIE, FRETA 16.



**HEMOROIDY** CZOPKI **VARICOL**  
 USUWAJĄ BÓL, SWĘDZENIE, PIECZENIE I KRWA-  
 WIENIE. ZMNIEJSZAJĄ GUZY (ŻYLAKI). — SPRZE-  
 DAJĄ WIĘKSZE APTEKI. — SKŁAD GŁÓWNY —  
 APTEKA A. GAŚECKIEGO, W WARSZAWIE, UL. FRETA 16.  
 ORYGINALNE Z MARKĄ FABRYCZNĄ „KOGUT“



WARUNKI PRENUMERATY

z kraju oraz do Austrii, Czechosłowacji i Węgier: miesięcznie 5 zł. 80 gr., kwartalnie — 17.40, gr., rocz-  
 nie — 69.60 gr. Do innych krajów miesięcznie — 7.20 gr. Zmiana adresu 50 gr.  
**Cena numeru w sprzedaży 1 zł. 60 gr.** • **Cena numeru w prenumeracie 1 zł. 34 gr.**  
 Prenumeratę przyjmuje Administracja „Bluszczu“ — Warszawa, Plac Zamkowy 9. Konto P.K.O. — Warszawa 3700

Wydawca: Tow. Wydawnicze „BLUSZCZ“. Sp. z ogr. odp.  
 Redaktorki: STEFANJA PODHORSKA-OKOŁÓW (naczelnia) i MARJA PODHORSKA-OKOŁÓW  
 Redakcja i Administracja: Warszawa, Plac Zamkowy 9, tel. 239-40. Ekspedycja: ul. Górnośląska 19. Telef. 244-75,  
 Druka. Zakł. G. i. Tow. Wyd. „BLUSZCZ“ Rymska 8, tel. 244-1P.